

Chyba na dobre wybudziliśmy się z zimowego snu. Wreć duszny klimat przy-

Flamenco – moje przeznaczenie Rozmowa z Grażyną Adamczyk-Lidtkę, tancerką



Katarzyna Lebedzińska: Flamenco jest nierozłącznie związane z językiem hiszpańskim. Używa pani tego języka?

Grażyna Adamczyk-Lidtkę: Oczywiście, ale obecnie tylko biernie. Kiedyś śpiewałam po hiszpańsku z moimi zespołami, grałam także na gitarze np. *De los cuatros muleros*, *Guagiras*, *Sevillanas*, *Fandangos*, *Tangos*, *Alegrias*. We flamenco zawiera się wiele dyscyplin sztuki.

K.L.: Także teatr?

G.A.-L.: Tak. Przez pewien okres mojego życia miałam też do czynienia z Teatrem Flamenco,

współpracowałam też z kilkoma teatrami. W przedstawieniach dramatycznych wykorzystywaliśmy właśnie taniec i muzykę flamenco. To były prawie „operety”. Federico García Lorca czy Fernando de Rojas to autorzy, do których utworów sięgaliśmy. W roku 1993 pracowałam przy polskiej prapremierze sztuki Jana hr. Potockiego *Cyganie z Andaluzji*. Co ciekawe, cała muzyka była realizowana na żywo, przez gitarzystów i aktorów dramatycznych. Ten spektakl robiłam z Krzysztofem Zgrają – autorem pierwszej polskiej książki o technice gitary flamenco.

K.L.: Muzyka na żywo, czyli przede wszystkim gitara?

G.A.-L.: Gitara jest na pewno najbardziej popularna, ale jeśli aktor potrafił np. grać na flecie, to włączaliśmy również i ten instrument do spektaklu. Tworząc sztuki, miałam okazję zrealizowania projektów z wieloma świetnymi gitarzystami. Muzykę poznawałam, podróżując, na przykład do Peru.

K.L.: A inne podróże?

G.A.-L.: Byłam też na Kubie. Kuba jest mi naprawdę bliska. Jest rozkołysana i ciepła, głównie dzięki jej mieszkańcom i wspaniałej muzyce. Z moich podróży, oprócz pięknych wspomnień, gromadzę notatki, zapiski. To staje się później dla mnie inspiracją do pisania wierszy. Wiele z nich traktuje właśnie o moich wyprawach, jednak moje życie to nie tylko Ameryka Łacińska i Hiszpania. Z koncertami zwiedziłam także kawał Polski dzięki występom i współpracy z różnymi ośrodkami kultury i teatrami. Zdarzało mi się wyjeżdżać na występy za granicę ze złamanym zębem, aby zatańczyć dziewięć koncertów, albo ze złamanym w podróży zębem, żeby później kryć twarz przed kamerą telewizyjną... W dalszych wyprawach zawsze ktoś pomagał. Wspierała mnie rodzina, przyjaciele i znajomi... W drodze zaskakiwały mnie różne niespodzianki, czasem nie byłam pewna, czy wrócić. Tańczyłam też w takich miejscach, gdzie parkiet pokrywały warstwy kurzu czy błota, czasem tańczyło się na betonie czy kamieniu. We flamenco mocno pracuje się stopami. Mowa przede wszystkim o charakterystycznym dla tego tańca wystukiwaniu rytmu. Buty miały prawo ulec zniszczeniu, szczególnie w tak ekstremalnych warunkach, dlatego wiele egzemplarzy obuwia było moim prywatnym patentem przystosowanym do tańczenia w każdych warunkach. Cudowne były biesiady z Hiszpanami, wspólne grania i tańce. Hiszpania, a przede wszystkim Andaluzja, to kochanka flamenco. Zawsze chciałam poznać ten magiczny zakątek zwany Iberia... Zorganizowanie wyjazdu to jednak niełatwa sztuka. Samo zdobycie wizy i załatwienie stosownych formalności dotyczących wylotu za granicę wymagało cierpliwości i wytrwałości jeszcze w latach osiemdziesiątych. Wielokrotnie trzeba było z jednym dokumentem jeździć do Warszawy, wystawać w wielodniowych kolejkach do ambasady. Piętrzyły się trudności, ale naprawdę zabiegi warte były chwil i przeżyć, których później się nie zapomina.

K.L.: Muszę zapytać, czy była pani również we Francji.

G.A.-L.: Poznałam to miejsce z bardzo ciekawej perspektywy, ponieważ oprowadzali mnie sami mieszkańcy, znający takie rejony, do których idą już turyści. Taka sama przyгода spotkała mnie w Hiszpanii. Właśnie w ten sposób zakochałam się jeszcze bardziej we flamenco.

Muszę przyznać, że nawet w samej Hiszpanii obraz flamenco nie jest monobarwny. Widziałam występy w turystycznych bungalowach i zadymionych barbecue, gdzie tancerki, sztywnie lub niezgrabnie tańcząc, mogły wprawić widza w odruch żalu, że dał się namówić na koncert. Do tego sama muzyka bywała technicznie źle przygotowana, zaczynała się w odbiornikach i chrypiała. Bywały jednak popisy, które swoimi barwami, rytmem i cudowną muzyką potrafiły porwać. Pewna historia ma swój początek na targu. Szukałam mantonów dla moich dziewczyn z zespołu. Zwiedzając Małęgę, napotkałam na piękne mantony, wachlarze i kastaniety, niemniej ceny sięgające 18 000 peset nie mieściły się w moim skromnym budżecie. Dlatego, będąc w małej wiosce rybackiej, zdziwiłam się, widząc te same przedmioty, lecz w niższych cenach, i to na stoisku z firanami. Znajdowałam interesujące mnie fragmenty strojów czy przedmioty potrzebne do flamenco w sklepach myśliwskich czy też właśnie na straganie perfumeryjnym. Nigdy bym nie podejrzewała, że tam je zobaczę. Straganiarka sprzedała mi wymarzone i poszukiwane mantony za 5 tysięcy peset. Byłam wniebowzięta, chociaż musiałam też nadłożyć 30 km drogi, żeby je odebrać. I tu los znowu się do mnie uśmiechnął. Hiszpanka po krótkiej rozmowie zaprosiła mnie na prawdziwą andaluzyjską fiestę. Byłam bardzo szczęśliwa. Straganiarka zapytała, czy tańczę flamenco. Odpowiedziałam bez wahania, że tak. Po chwili z komplementem *Guapa Señorita* i słowami uznania zaprosiła mnie na wieczorną uroczystość. To była *Noche de Sevillanas*, czyli nos Sevillany. Przyszłam wraz z moimi dwiema uczennicami na umówione miejsce. Zostałyśmy specjalnie pokierowane w tę dzielnicę. Chyba żaden z turystów tu nie był. Nie było widać żadnego białego człowieka. Noc, ciemno, czarno i tylko my takie białe. Człowiek w takich sytuacjach zdaje sobie sprawę z koloru swojej skóry. Oprócz wszechogarniającego mroku, wszędzie było widać kolorowe sukienusie dzieci, które tańczyły na drewnianej, obwieszonej girlandami bibulek estradzie i biegały po całej ulicy. Oczywiście przybyłyśmy na miejsce na umówioną godzinę, ale Hiszpanie mają zwyczaj spóźniania się i tak musiałyśmy poczekać, aż wszyscy się zbiorą. Trwało to chyba ze trzy godziny, zanim rozpoczął się konkurs Sevillany.

Dzieci już wskakiwały na scenę i rywalizowały między sobą. Moje uczennice też chciały zaprezentować swój repertuar. To niepowtarzalna okazja skonfrontowania flamenco w Polsce z tym rdzennie hiszpańskim. Zaczęło się od głośniejszej muzyki, kilku stołów, paru krzesel i kilkorga ludzi ze szklankami piwa w garści. Gdy rozpoczęła się zabawa, zrobiło się gęsto i jeszcze bardziej czarno. Człowiek na człowieku. A występy cudowne. Nawet młodzietkie tancerki z miejscowych szkół tańca nie powstydzilyby się barcelońskich Tablaos. Tańczyli wszyscy, nawet moje małe uczennice. Miejscowi z zainteresowaniem wypytywali, skąd jesteśmy. Z wielkim aplauzem i gromkim klaskaniem palmas towarzyszyli nam, zagrzewając do tańca. Później tańczyła już cała ulica.

K.L.: Można dojść do wniosku, że każdy w Hiszpanii tańczy flamenco. Czy tak naprawdę jest?

G.A.-L.: Muszę przyznać, że czasem naprawdę miałam takie wrażenie, bo to flamenco rzeczywiście tam jest. Kiedy przechadzałam się po Granadzie i usłyszałam, jak jakiś mężczyzna na ulicy śpiewa *Tangos* czy *Tientos*. Wtedy naprawdę czuje się ten klimat, czegoś prawdziwego, co siedzi w duszy, to jest właśnie słynne *duende* – duch flamenco. Spotykałam i takich Hiszpanów, którzy mówili, że ten taniec w ogóle ich nie obchodzi, nie zachwycali się wcale tą częścią ich własnej kultury. Dla mnie jednak flamenco to życie, to moje przeznaczenie. Krążę wokół niego i nie umiem się oderwać, mimo bolesnych doświadczeń po drodze. Wciąż uczę, piszę wiersze, wspominam i nadal marzę o dalszych podróżach, choć to jest coraz mniej realne.



Rozmawiała Katarzyna Lebedzińska